Numer noworoczny powiększony cena 350 mkp.

TRĄBA JERYCHOŃSKA

Miesięcznik pośw. sprawom wychow. i kultury narodowej

Nr. 4	Poznań, dnia 1-go stycznia 1923	Rok I

Proroctwo Reja

A gdy trzeci Anioł zatrąbił, wpadła z nieba gwiazda wielka, pałająca jakoby pochodnia i wpadła do trzeciej części rzek i do wzdrojów wodnych: a imię jej było piołun. A stała się trzecia część wód onych gorzka jako piołun a wiele ludzi umarło od wód od onych, abowiem sie barzo gorzkie stały były.

Gwiazdami zawżdy pismo św. zwało wierne nauczyciele na ziemi. Ale tu Apostoł powiada, iż to nie była prawa gwiazda, ale jakoby pochodnia pałająca, a imię jej było piołun. — — — A tak tyć to grady, tyć to góry, tyć to mizerne pochodnie ustawicznie będą padać na ten nędzny świat z nieba, to jest z dopuszczeenia Pańskiego. Ale my wierni, gdy sie będziemy mocno dzierżeć onego ognia świętego nam od Pana naszego zrzuconego, nic nam ty grady, ani ty góry, ani ty pochodnie uczynić nigdy nie będą mogły.

(Rej. Apocalypsis.)

Panie, niema człowieka...

»Życie szlachetnego człowieka to nie taniec wiosenny, to walka, to pochód wojenny, to bój przeciw państwom i mocarstwom. »To nie przechadzka przez gaje pomarańczowe i przez zielone kwieciste łąki w towarzystwie śpiewających muz, — lecz to poważna »pielgrzywka poprzez rozżarzony piasek pustyni, przez obszary »śniegu i lodu. Ów człowiek przebywa wśród ludzi, miłuje ich »niewypowiedzianem, łagodnem współczuciem, miłością, jaką oni »odwzajemnić się nie mogą; — lecz dusza jego przebywa w samotności, w odległych krainach. — Spocznie na chwilę na zielonej oazie, obok palmy i źródła, lecz wkrótce rusza w dalszą »drogę, a towarzyszą mu demony i archaniołowie, — postrach »i światłość. Całe niebo jest w jego orszaku: lśniące gwiazdy »lśnią mu wieści z nieskończoności, — umarli, złożeni w milczących grobach świadczą o wiecznościach.

»Jakiemi środkami mógłby się świat przeciwko niemu zabezpieczyć?... Pieniędzmi go nie zbawisz, szubienicą ani ustawą »go nie ujarzmisz. — On wymknie ci się jak duch.

»Miejsce jego w sąsiedztwie gwiazd niebieskich. A czy tu »na ziemi wyznaczysz mu miejsce w najniższej chacie lub 40 stóp »wyżej na szczycie rzekomo olbrzymiej wieży, to jemu obojętne, »to tylko tobie wydaje się być rzeczą wielkiej wagi, kwestją »życia i śmierci. Nagrody twoje go nie nęcą, co więcej, kary »twoje go nie ustraszą. Nie zmożesz go choćbyś go zabił. O! gdyby »podstawą jestestwa tego człowieka, którego wzrok rzuca błyskawice, nie były sprawiedliwość Boża, szlachetność ludzka, prawość »i łagodność, lękałbym się o świat! Lecz siłą jego — radujmy się, »tak jest, — to zespół sprawiedliwości, odwagi i miłosierdzia, »które w nim żyją.

»Oczy jego rzucają błyskawice na obłudników i wysoko »postawionych szarlatanów w modnych strojach; lecz wzrok jego »staje się łagodniejszy niż matczyny, błyszczy łzą łagodnego miłosierdzia na widok ciemiężonych i sponiewieranych. Serce jego, »myśli jego są świętem schroniskiem dla nieszczęśliwych. —

»Postęp świata jest na zawsze zapewniony!« —

T. Carlyle.

Trzecia osoba w trójcy wychowawczej.

„Paedagogus nascitur“ — wychowawca musi mieć zdolności przyrodzone, musi mieć dar pedagogiczny. Bardzo słusznie. Lecz z tą samą racją można powiedzieć: „Pictor nascitur“ albo „Artifex nascitur“. Zdolnym malarzem może być tylko ten, kto ma przyrodzone zdolności do malarstwa. A jednak najwięksi genjusze sztuki malarskiej, jak Michał Anioł albo Rafał uczyli się swej sztuki — i to nietylko teoretycznie, lecz przedewszystkiem praktycznie u swoich mistrzów. Czy malarz, czy rzeźbiarz, czy śpiewak, czy skrzypek, czy organista — każdy przechodzi mimo wrodzonych zdolności, które są conditio sine qua non, jeszcze naukę teoretyczną i praktyczną.

Sztuka nauczania i wychowywania, zwłaszcza zbiorowego, jest bez kwestji najtrudniejszą ze wszystkich sztuk. Więc i nauczyciel nie może się obejść bez tej trójcy t. j. bez zdolności przyrodzonej, wykształcenia teoretycznego i wykształcenia praktycznego. Trójca ta tworzy tak ścisłą całość, że gdy brak w niej jednego ogniwa, to drugie dwa na nic albo bardzo mało się przydadzą.

Wykształcenie naukowe zdobywa kandydat w uniwersytetach. Lecz wykształcenie to jest wyłącznie teoretyczne, i mniemanie, jakoby obszerna i głęboka wiedza teoretyczna kwalifikowała go na tęgiego pedagoga, polega na zupełnem niezrozumieniu istoty nauczania i wychowania i może tylko szkodzić sprawie. Studjum uniwersyteckie przekracza i musi z natury rzeczy przekraczać daleko zakres szkoły średniej, i często zagłębia się w kwestje, które już absolutnie nic nie mają wspólnego z przyszłym zawodem kandydata. I zupełnie co innego jest umieć wiele i mieć dobre chęci, a co innego — nauczać i wychowywać młodzież. Nauczanie i wychowywanie wymaga od nauczyciela nietylko gruntownej wiedzy — i błyskotliwej elokwencji — ale także umiejętnego przestrzegania szeregu norm pedagogji praktycznej, które są owocem praktycznej działalności pierwszorzędnych wychowawców.

Nauczyciele szkół powszechnych mają w seminarjach możność gruntownego zaznajomienia się z zasadami pedagogji praktycznej. Dla nauczycieli szkół średnich, zdaje się, uważają miarodajne sfery te zasady za niepotrzebne, bo w Polsce kandydat na nauczyciela szkół średnich nie ma możności uzupełnienia swych wiadomości teoretycznych wykształceniem praktycznem. Kandydatowi, który przed kilku dniami zdał egzamin

kwalifikacyjny, powierza dyrektor zakładu pewne przedmioty w pewnych klasach i „puszcza go na klasę“ i nikt się nie troszczy, jak niedoświadczony ten młodzieniec upora się z materjałem i z młodzieżą, jak on wykłada, jakich środków używa, by młodzież kształcić i wychowywać.

Murarz, cieśla, szewc, krawiec, malarz — każdy kształci się praktycznie, każdy musi się nauczyć, „jak się to robi“ — tylko nie nauczyciel szkół średnich. Każdy uczy „duchem“, intuicyjnie. Czy można przypuszczać, że początkujący nauczyciel intuicyjnie odgadnie, jak w każdym poszczególnym przypadku postąpić należy?

To zdziałać może tylko genjusz — wprawdzie w Polsce mamy bardzo wielu ludzi genjalnych, a raczej takich ludzi, którzy święcie są przekonani o swej genjalności — i stąd dyletantyzm w każdej dziedzinie —, ale trudno mi uwierzyć, żeby każdy nauczyciel szkół średnich był genjuszem pedagogicznym. Genjuszem był Pestalozzi, a jednak doznał bardzo wielu klęsk i niepowodzeń, i przy schyłku życia doczekał się zupełnej ruiny swego dzieła — a to dla braków w praktycznem wyszkoleniu pedagogicznem.

We wszystkich prawie państwach Europy zachodniej — włącznie „niekulturalnych“ Niemiec — każdy początkujący nauczyciel szkół średnich musi absolwować kurs praktycznego wyszkolenia. N. p. w Niemczech każdy kandydat przechodził — i obecnie jest tak samo — przez ogień roku seminaryjnego i roku próbnego. W tym okresie był członkiem seminarjum, które pod przewodnictwem przedstawiciela władzy szkolnej (radcy) albo dyrektora gimnazjum zastanawiało się i debatowało nad kwestjami praktycznemi codziennej pracy szkolnej, a także nad kwestjami zasadniczemi. Kandydat odprawiał t. zw. lekcje wzorowe w obecności kierownika i wszystkich członków seminarjum — a często także wobec członków grona zakładu, w którym uczył —, następowała ocena takiej lekcji, omawianie zalet i wad Ile to korzyści, ile wskazówek wyniósł kandydat z jednego takiego „seansu krytycznego“. Kandydat podlegał starszemu doświadczonemu nauczycielowi, który był zobowiązany udzielać młodemu koledze rad i wskazówek i pouczać go o metodach i środkach pedagogicznych. Kandydat musiał hospitować, t. zn. brać udział w lekcjach doświadczonych pedagogów. Dopiero po dłuższym czasie polecano mu kiedyniekiedy przeprowadzenie lekcji — lecz wtenczas musiał przedłożyć swemu mentorowi pisemnie wypracowany plan lekcji. Oprócz tego mu-

siał kandydat opracować pisemnie kilka ogólniejszych tematów pedagogji praktycznej i prace te przedłożyć kierownikowi seminarjum. Pozatem musiał też znać historję pedagogiki.

W Polsce nic podobnego niema. A dlaczego niema? Nam, wychowanym w szkole niemieckiej, bierze się nawet za złe i gani, że do techniki nauczania przywiązujemy wielką wagę. Wychowankowie szkoły austrjackiej, zdaje się, zarzucają systematycznemu kształceniu zawodowemu, że ono ogranicza i zabija indywidualność nauczyciela, jego swobodę i rozwój jego urodzonych zdolności wychowawczych — bo przecież Polak jest bardziej uzdolniony niż Francuz, Niemiec, Anglik i Bóg wie kto! Z tej samej racji możnaby twierdzić, że wszelki porządek i wszelkie prawo i każdy przepis ogranicza i zabija swobodę. Nie, właśnie gruntowna znajomość zasad i wskazówek pedagogji praktycznej umożliwia dopiero nauczycielowi swobodny rozwój swoich zdolności, bo ułatwi mu przezwyciężenie niejednej trudności uprzyjemni mu jego posłannictwo. Więc wstręt do systematycznego wykształcenia zawodowego wskazuje albo na niechęć do należytego porządku i do gruntowności wogóle albo na bardzo znaczną zarozumiałość, to jest na przecenianie swych zdolności.

Niejeden nauczyciel myśli, że ponieważ posiada patent i różne kwalifikacje naukowe, nie potrzebuje już więcej się uczyć — zwłaszcza u nas w Polsce, w ojczyźnie wybujałego indywidualizmu i ślepego romantyzmu, często spotykamy się z takiem zdaniem. W rzeczywistości rzecz się ma wręcz przeciwnie: od pierwszej lekcji, którą początkujący nauczyciel udziela, zaczyna się okres, gdzie on uczyć się musi — mniej nowej wiedzy, ale raczej sposobu najlepszego wpajania tej wiedzy uczniom i środków i metod wychowawczego oddziaływania na powierzoną sobie młodzież, słowem: uczyć się musi sztuki wychowywania i nauczania.

Niejeden tej sztuki wcale się nie nauczy, bądź to, ponieważ uważa ją za niepotrzebną, bądź też, ponieważ brak mu żywych wzorów, którzyby mogli go informować i pouczać. Inny powoli, w ciągu kilku lat po długich i ciężkich mozołach nauczył się — lecz ile szkody on w tym czasie wyrządził sprawie wychowania? Przecież młodzież nie jest materjałem doświadczalnym, na którymby można urządzać bezustannie eksperymenty.

Trochę wykształcenia praktycznego, a nie zdarzałyby się takie dziwolągi jak wymaganie od uczniów drugiej klasy szczegółowego opisu soczewki achromatycznej i przebiegu w niej promieni świetlnych, nie zdarzyłoby się, żeby nauczyciel siedział w pustej ławce na tyłach całej klasy, albo żeby przez pół godziny skierowywał wszystkie pytania do jednego ucznia, a wszystkich innych uczniów niczem nie zatrudniał, albo żeby profesor języka polskiego zniewolił uczniów ósmej klasy do milczącego czytania jakiegoś utworu przez prawie całą godzinę, a sam czytał gazetę, otuliwszy się płaszczem. Jak nazwać nauczyciela, który skargą często przed całą klasą powtarzaną: „Chłopcy, żebyście wiedzieli, jak ta nauka mnie męczy, jak niechętnie was uczę!" zniechęca młodzież i zamraża jej młodzieńcze i wrażliwe dusze lodem nudy i zniechęcenia? A cóż dopiero sądzić o profesorze, który wobec całej klasy przyznał się, że nie miał czasu przygotować się na lekcję i dlatego całą godzinę poświęcił powtórce i egzaminowaniu? Są to ciężkie grzechy — a są faktami. —

Nie mniej fatalne skutki wynikają z błędów metodycznych, a tych napewno nie uniknie ten, kto nie czerpie z skarbca doświadczeń innych wychowawców. Podwoje do skarbca tego otwiera pedagogja praktyczna, lecz zorjentować można się w nim tylko, posiadając doświadczonego przewodnika. Dobrej metodyki nauczyć się można tylko drogą bezpośrednią, t. zn. młody nauczyciel musi widzieć, jak doświadczony nauczyciel lekcję przeprowadza, a następnie musi sam próbować, lecz pod okiem kolegi doświadczonego, ażeby tenże go pouczał i odzwyczajał go od błędów. Niestety w Polsce tego brak, i brak też polskiej literatury traktującej o metodyce poszczególnych przedmiotów. Skąd początkujący nauczyciel ma znać metodykę swego przedmiotu? Na uniwersytecie poznać jej nie mógł, bo właśnie w metodzie traktowania przedmiotu tkwi zasadnicza różnica między uniwersytetem a szkołą średnią i powszechną. Tam panuje wyłącznie metoda dedukcyjna czyli systematyczna, tutaj musi panować metoda indukcyjna i genetyczna. Niestety istnieją jeszcze obecnie np. matematycy, którzy w szkole średniej zastosowują ściśle metodę dedukcyjną, zaczynając każdy rozdział matematyki definicją i wyprowadzając z tej definicji twierdzenia i t. d. Nawet w chemji pokutuje jeszcze ta nieszczęsna metoda dedukcyjna · istnieją nawet podręczniki, które na początek kursu chemji stawiają prawidła ilościowe i równania chemiczne, część ogólną (ilościowe prawa, teorje chemiczne, równania chemiczne),

a dopiero potem przechodzą do części specjalnej (poszczególne pierwiastki i połączenia), miast odwrotnie zaznajomić uczniów najpierw z najważniejszemi pierwiastkami chemicznemi i ich połączeniami i z nich dopiero wywnioskować ogólne zasady.

Wiem, że osoby zajmujące wysokie w hierarchji szkolnej stanowiska, spychają nauczanie młodzieży na drugi plan, a na pierwszy wysuwają wychowanie młodzieży. Ale i do spełnienia tego zadania potrzebuje początkujący nauczyciel rad i wskazówek, i to nie przygodnych, przypadkowych, lecz systematycznych i wyczerpujących. W ciągu lat dziesiątek i setek wynaleziono cały arsenał środków wychowawczych, które każdy nauczyciel winien opanować. Lecz twierdzę, że najlepszym środkiem wychowawczym jest wzorowe i celowe przeprowadzenie każdej lekcji, oparte o wypróbowane zasady pedagogji praktycznej, bo każda taka lekcja nietylko wzbogaca i rozwija rozum i umysł, ale także wzbudza w uczniu zapał do nauki i do pracy sumiennej. Nauczyciel, który źle uczy, źle też wychowuje.

Powyższe wywody nie mają głosić wszechwładzy metody. Ażeby metoda była skuteczną, musi nią władać osoba rozsądna, obdarzona pewnym darem przyrodzonym. Lecz nie ulega wątpliwości, że przyrodzony dar pedagogiczny potrzebuje jako środka do skutecznego oddziaływania na młodzież — gruntownej znajomości zasad pedagogji praktycznej. I w imię dobra i pomyślnego rozwoju szkoły polskiej bardzoby się zalecało, ażeby ministerstwo W. R. i O. P. przystąpiło do zorganizowania systematycznego wyszkolenia praktycznego nauczycieli szkół średnich, ażeby każdy nauczyciel mógł sobie przyswoić drogą praktyczną zasady sztuki nauczania i wychowywania młodzieży, tej sztuki najtrudniejszej ze wszystkich sztuk.

Pałuczanin

Lisie nory.

BAJKA.

Jest pewien gatunek ludzi, który nie umie wyrzec się myszkowania; ciekawy to typ ludzi. W krwi to swojej mają, drogą ewolucji od protoplastów, przezacnych ich przodków, że całą swą mądrość i cele życia w tem upatrują, aby zawsze gdzieś, kogoś, za coś ze skóry obedrzeć, zjeść, zniweczyć. Już to taka natura lisia, że na niej się jeży ruda sierść, która zresztą ma tę dobrą stronę, że ją czyni niewidoczną dla otoczenia, już to natura lisia, że krok ma lekki a przyciszony, że łukiem się krzywi

giętki grzbiet, że gładki a pulchny kożuszek, taki miękki i miły dla dotyku, jakby stworzony na to, aby ci się w odpowiedniej chwili wymknął z ręki, już to natura lisia, że pazury mu się wykrzywiły, gotowe niebaczną ofiarę rozedrzeć. A ten ogonek! Jakże on nim umie wywijać! Patrz na oczki, malutkie, takie malutkie, że nieomal niedostrzegalne, a jednak pała w nich przyciszony, złowrogi ogień, który ci zgubę zapowiada, jeśli niebacznie, gdzie na ustroniu zbytnio się do niego zbliżysz. Więc miej się na ostrożności! Lis to chytra sztuka: schwyć lisa, gdy błyskawicą mknie po gęstwinach leśnych, jedynie ogonek ujrzysz, a sam gotóweś w dół wpaść jak Zagłoba, gotóweś nos zbić, słowem szwank ponieść; schwyć lisa, gdy ulicami Poznania poważnie, w nowo zakupionym tu płaszczu, pełen skupienia i promiennej na licach błogości kroczy: tyle powagi, tyle majestatu! Co prawda nieco mały, osadzisty! Patrz, z lekka pod nosem mruczy, a tylko te światełka w małych oczkach bezustannie drgają i nic dobrego nie wróżą: napewno lisek kombinuje, boć mruczy jak kot, gdy nieszczęśliwą mysz przyłapał; gotowym przysiąc, że cię powita grzecznie, leciutko palcami dotknie Twojej dłoni, gdyż w obyczajach jest on nadzwyczaj czuły, wprawdzie nowej to marki ta jego obyczajność towarzyska jak ten płaszcz, na którym jeszcze wisi kartka fabryczna, i firanki w oknie, do których, niestety przyznać to trzeba, przyzwyczaić się nie umie: lisek to sobie dziecię przyrody, coś w rodzaju poety o pięknej duszy, rozmarzonej, tak sobie sielankowej, rzewnej, ckliwej na wdzięki matki natury; jest to z bożej łaski artysta, w marzeniach swych błądzi linją, to prostą, to wklęsłą po boskich kształtach ciał, to gamą kolorów zaklina potok różnobarwny w olśniewające malowidła, na jego skinienie góry pryskają, marmury życiem nowem, nieznanem drgają, na licach rumieńce występują, jak gwiazda oko błyszczy, krok się ożywia, i zimny głaz po kuli ziemskiej triumfalnym pochodem kroczy, zdobywa serca, sławą się pokrywa; szczególnie zaś lubi i zna się na muzyce, nawet antyfonę umie zaśpiewać, a jakże: huknie, aż kościół zadrży, a gmina Boża na kolana buchnie, nawet gdyby je sobie miała okrutnie potłuc. A jaki to mówca! Ile tam wymowy, patosu, świętego oburzenia, szatodarcia, patrjotyzmu: to niby krynica wieczną dla ludzi sącząca prawdą, dla dobra przyszłych obywateli. Szkoda tylko, że to tak niefortunnie nowe, jak ten nowo-nabyty granatowy płaszcz. Już to ja mam swoje zastrzeżenia, już to pomimo całej swojej sympatji dla mojego lisa, chyba z prawa idjosynkrarji mojej dla lisów

wogóle stwierdzić muszę, że w tym płaszczyku niebardzo mu do twarzy: po pierwsze co do koloru, wolałbym połysk żółtawo-czarny, chociaż z drugiej strony stwierdzić trzeba, że taki sobie granatowy płaszcz bardziej zbliżony do nadziemskich rzeczy, bardziej on zbliżony do tej wiecznie harmonijnej kopuły nad naszemi głowami, boć symbolem ci mówi: skąd a dokąd człeczyna podąża; zobaczysz, a wnet lisek do ręki weźmie książeczkę do nabożeństwa, a tak sobie Poznaniem, od końca do końca, Starym Rynkiem, placem Wolności na Jeżyce podąży, by tam zanucić antyfonę; i co do kroju także mam swoje zastrzeżenia, smak mój odmienny, wolałbym ogonek, ten świetny puszysty ogonek, jak to na prawdziwego lisa przystoi, ale lisek inaczej postanowił: woli on bez ogonka, snadź większy u niego spryt, bo może gawiedź uliczna, jakiś łobuz pozwoli sobie na niewczesny żart, schwyci za ogon a lisa przytrzyma. I dlatego słusznie lisek na czas zmienił krój i dobrał zgoła odmienny kolor odświętnej szaty. Trzeba umieć żyć!

Ale nie stałbym na wyżynie zadania, gdybym sympatyczną postać mojego liska nie umiał uwypuklić dobitną plastyką rysów odrębnej psychiki, mającej dobitny wyraz w pracy społeczno-kulturalnej nad nami; psychiki przerastającej swoją doskonałością o całe niebo zwykły, szary tłum. Albowiem są głębiny przepastne, głębiny uczucia i umysłowości w moim lisie, niedostępne dla zwykłego śmiertelnika: kiedyś łaził po kniejach podgórskich, tam uprawiał w równie godny sposób swój proceder, chytrze zamalował ogonek na czarno-żółty kolor i był „staatserhaltender Faktor", ale ponieważ należy do rodzaju wędrownych, a zasada łacińska: „vivere non est necesse, navigare necesse est" cechuje szlachetne jego porywy do kosmopolityzmu i uszczęśliwienia całego świata, jak długi i szeroki, więc wybierał się w dalekie strony, raz do Wiednia, drugim razem do Warszawy, teraz do Wielkopolski, by szerzyć i stwarzać kulturę. Pachnie ta kultura wprawdzie lasem, otwierają ci się przed oczyma ogromne bory, zaniedbane i zniszczone, gdzie jedynie żydek i lisek dobrze się czują, czasami mknie ci przed oczyma chorągiewka lisia, chwycisz, a tu trzymasz jedynie ogonek, a przecież ogon to nie lis. A jakże! Ale za to lis w kniejach wielkopolskich, a szczególnie na bruku poznańskim dzielnie się sprawia. Wprawdzie bite gościńce i proste drogi niebardzo mu przypadają do gustu, przecież tak nie było w domu, u siebie: zato tam pełno dziur, wybojów, szczelin, zarośli, jam, kryjówek, gdzie lis znalazł w razie potrzeby schronienie, gdzie mógł

przemyśliwać o nowych imprezach, chociażby o imprezie na Wielkopolskę. Ale za to się tu usadowił, przyznać mu to trzeba, sprytnie: jamy sobie wykopał, podziemne, nikomu nieznane korytarze porobił, dziur bez liku wygrzebał, szczeliny wyżłobił, chwasty i zarośla nasadził, a tu Poznańczyk w dziury wpada, boć przyzwyczajony do bitych dróg, nogi łamie, nos kaleczy i zęby wybija, a lisek z za przyzby do rozpuku się śmieje, a dalej, swój proceder uprawia, a co gorsza nie naraża się, gdyż nie brak naiwnych Poznańczyków: raz to lis się skryje za szerokiemi plecami powagi naukowej (sic!), chociażby to miało być na herbatce piątkowej, znów to w razie niebezpieczeństwa czmychnie za plecy wysokich dostojników, kornie jak lis z bajki krzyż ucałuje i komżę, a w końcu zwoła opinję publiczną i każe jej krzyczeć za siebie, jak złodziej, na którym czapka gore. Naiwność cudza, jednostronnie, bez sądu, da się uwieść, potępi, zniszczy, wyrzuci, wypędzi na bruk przeciwników sprytnego lisa, zorjentuje się dopiero wtedy, gdy będzie za późno, gdy swoi z goryczą w sercu o żebraczym kiju po świecie o miłości braci Polan wspominać będą. A lis się śmieje, do rozpuku się śmieje, że brak u nas jedności, że brak zrozumienia, że brak czynu stanowczego.

Mój ty kochany lisie, z małemi oczkami swojemi, w nowym płaszczyku, z antyfoną na ustach! Podziwiam twój spryt, a naszą solidną ociężałość. Ale jeśli jeszcze warto prorokować, to przyjdzie dzień, w którym ty albo pozbędziesz się swojej chytrości i polubisz, całem sercem polubisz proste bite drogi, albo wrócisz w ciemne knieje, knieje rodzinne!

Johnson.

Mobilizacja.

Więc mobilizują się przeciw nam. Mobilizacja ogólna, szturm po szturmie. „Kurjer Poznański“ przypuścił na nas trzy szturmy. jeden anonimowy, jeden bardzo podły (ale później prostowany) i jeden generalny, wykonany przez osoby bardzo **poważne** i bardzo poważane, lecz źle poinformowane. „Kurjerowi“ sekunduje „Dziennik Poznański“ i „Przegląd Poranny“ — więc blok od ósemki aż do Belwederu, winszujemy!

Spodziewaliśmy się krytyki — ale rzeczowej, popartej argumentami. Tymczasem nie zaprzeczono dotąd ani jednemu z naszych zarzutów, nie zbito ani jednego twierdzenia naszego, (wprawdzie trochę, ale bardzo

słabo próbowano śliskiej krytyki), owszem — artykuł „W przykrej sprawie" w „Kurjerze" zawiera cenne przyznanie, że „udoskonalenie szkolnictwa naszego w niejednem wymagać będzie zmiany".*) Rzuca się tylko zawsze tym samym frazesem ogólnikowym, że jesteśmy separatystami i że ukazanie się „Trąby" „dopełniło miary", drze się szaty nad nieobliczalnemi szkodami, jakie „Trąba" rzekomo już wyrządziła, wreszcie apeluje się do nas, — ażebyśmy przestali „wywijać chorągiewką", — a w końcu — grozi represaljami przeciwko „siejącym niezgodę".

Wykonanie tej groźby sprawiłoby nam za wiele zaszczytu, boć w Polsce zakorzenia się zwyczaj karania patrjotów, (Haller, Nowaczyński, śp. Marchlewski) za to, że ogłaszają prawdę bez względu na osobę i stan. Panowie! Jeżeli chcecie zastosować represalje, to udowodnijcie nam wprzód, że „Trąba" zawiera fałsze lub podłości. A jeżeli tego nie możecie udowodnić, to — prosimy o więcej bezstronności i ostrożności.

Czemu Panowie nie oburzaliście się, gdy publicznie w gazetach nas atakowano i to atakowano w sposób brudny, mijający się daleko z prawdą? Czemu nikt nie stanął w obronie rektorów szkół poznańskich, gdy prof. Konieczny podkopywał ich powagę na łamach „Kurjera Poznańskiego" i to w sposób dokuczliwy — a „krytyka dokuczliwa jest rzeczą niepedagogiczną", głosi sentencjonalnie artykuł „W przykrej sprawie". Czemu nikt nie podniósł głosu protestu przeciw artykułom, które umieścił „Przegląd Poranny" w jesieni 1921 r.? W artykule „W przykrej sprawie" potępia się teraz te artykuły, ale krytyka ta przyszła o rok zapóźno. Do owych to — artykułów zaczepnych odwieść należy zarzuty skierowywane przeciwko „Trąbie": — demoralizowanie młodzieży, szkodzenie szkolnictwu, podkopywanie autorytetu nauczycieli, ton niekulturalny.

Te zaczepki były jedną z przyczyn, które zmusiły nas do samoobrony — nie tyle naszych osób, ile naszych zasad i ideałów. Lecz my nie zaczepiamy osób, my wytykamy błędy i wady zasadnicze, wady ustroju całego i systemu, ale trzymamy się ściśle faktów i zdarzeń rzeczywistych, te stanowią podłoże naszych artykułów. Że tych

---

*) Ostatnio Rzeczpospolita rozpisała się o „Trąbie Jerychońskiej", przyznając nam bardzo wiele słuszności; atakuje zato redakcję z powodu błędów językowych, „od których się roi", tylko że żadnego nie umiała wskazać. Odpowiedź damy później.

„zdarzeń“ jest dużo, że zasad w życiu nie można oddzielić od osób, to już nie nasza wina, wina to jest tych, którzy takie faux pas popełniają, a jeżeli p. Papée pragnie wyszczególnienia nazwisk, to i owszem.

Młodzieży nie demoralizujemy, bo te wszystkie zdarzenia, o których mowa jest w „Trąbie“, zaszły przecież w oczach młodzieży i młodzież je zna! Zresztą sądzimy, że w Polsce wytykanie błędów faktycznych nie uchodzi za rzecz demoralizującą i godną represalij! A może jednak?

Wiemy, że szerokie koła społeczeństwa solidaryzują się z nami i podzielają nasze przekonania o tem, co jest dobre, a co niedobre w naszej obecnej szkole, i to dodaje nam otuchy.

„Nam“ znaczy tutaj „redakcji“ a nie „Związkowi Profesorów i Nauczycieli Szkół Średnich Polski Zachodniej“ Redakcja „Trąby“ a „Związek“ są to dwie rzeczy oddzielne. „Trąba“ nie jest organem „Związku“, i do współpracowników „Trąby“ należą także osoby nie należące do „Związku“.

Do niektórych spraw, powyżej tylko lekko potrąconych jeszcze powrócimy.

Eichstaedt

O honor i godność!

Jakto? Ludzi inteligentnych, wykształconych, dobrze wychowanych z pomocą i bez pomocy kar cielesnych, ludzi kulturalnych ośmielam się nauczać o honorze? w dodatku Polaków, co to słyną z żywego poczucia honoru, Polaków, co to szerzą kulturę, ja, człowiek — bom od polskości odsądzany — człowiek „bez kultury i cywilizacji“?

Zaraz się wytłómaczę!

Człowiek honoru zna swe obowiązki, spełnia je sumiennie i samorzutnie bez kontroli, wedle możności, sił i rozumu, a nie uchyla się od nich z lada powodu: jestem przemęczony, zdenerwowany, czuję się niedobrze, mam migrenę, sprawa rodzinna, piszę krytykę teatralną, żona chora, mąż chory, dziecko chore, dziecko się urodziło, niema dyrektora — i nie kryje się przed przełożonym za płot!

Człowiek honoru spełnia swe przyrzeczenia i postanowienia, chociażby trudne były do wykonania. — A jest także towarzystwo, co uchwaliło jednomyślnie dokonać publicznej obrony, a uchwały swej nie wykonało ku umniejszeniu czci i ho-

noru wszystkich członków, którzy zamilkli (z jakiego powodu?) Taka kultura ducha niczyjego serca podbić nie może, bo jest bezwstydna i nieeuropejska.

Człowiek honoru umie samego siebie oceniać i osądzać, nie wysuwa się wszędzie na pierwsze miejsce, nie zaznacza swei mądrości i ważności swej osoby, a ustępuje z miejsca, na którem stać nie umie.

Jeśli na swem stanowisku jest bezradny wobec terroru kilku osób — idzie, jeśli jest niedołężny i nie może sprawom podołać — wycofuje się, jeśli zrobi faux pas i przyznać się do tego musi publicznie — znika.

Człowiek honoru nie chodzi nadęty, nie daje odczuwać niepotrzebnie chociażby nawet prawdziwej swej wyższości, chociaż jest przełożonym. Przypatrz się Francuzowi, jaką ma ludzką postawę, jaki jest naturalny w mowie i gestach.

Ale niektórzy stosują tę zasadę tylko wobec uczniów (albo ją nakazują stosować), ale sami wobec równych sobie, wobec podwładnych nauczycieli nie cofają się przed urzędowem ubliżaniem. Tak wytknięto pewnemu profesorowi na urzędowym papierze urzędowo niestwierdzone błędy w nauczaniu, mówiąc coś o papugach jego klasy, innym razem powiedziano gorliwemu i sumiennemu nauczycielowi, że demoralizuje młodzież.

Człowiek honoru jasno rozumie lub żywo odczuwa, co prawe, a co nieprawe, słyszy głos sumienia i uznaje jego nad sobą przewagę.

Jeśli przez lekkomyślne zostawienie na ulicy jest współwinny śmierci gorącego i dzielnego obywatela i pracownika oświatowego, jeśli się mówi po mieście, że mocno współbiesiadował z towarzyszem, którego spotkało nieszczęście, to honor nakazuje mu usunąć się w cień, wraca do skromnej, cichej pracy i wdziewa jak ks. Robak na siebie skromny habit zakonnika.

Człowiek honoru nie jest tyranem, wie, co wolność, wie też, co przymus i niewola, lecz zwalczać będzie wszelką swawolę, bo zna granicę osobowości ludzkiej.

Lecz niektórzy chcieliby do szkoły wprowadzić złotą wolność, ów klejnot drogi pysznego szlachcica dawnych wieków, nie chcąc wiedzieć, że kto ma być sprawiedliwym panem, musi nauczyć się słuchać nietylko ludzi, ale swego sumienia, inaczej sam zdziczeje i zgłupieje, a innym każe jęczeć w niewoli, będzie nadużywał swej władzy nato, by ludziom prawdy (niekiedy bardzo przykrej) usta kneblować, szukając nawet pomocy infuły.

Słuchać prawa i prawdy bez gniewu trzeba się uczyć, trzeba przyzwyciężać zachcianki, spokojne wygody i sympatje, słowem: prywatę.

Człowiek honoru czuje wstręt do zauszników, pochlebców i plotkarzy jako największych wrogów własnych i sprawy — nie słucha komplementów podwładnych i donosicieli (bo są i tacy), nie słucha plotek postronnnych, by na ich mowy wypowiadać swe niezaufanie nauczycielom w sprawach służbowych (afektów mnóstwo).

Człowiek honoru ma odwagę cywilną wypowiadania drażliwych i przykrych rzeczy w oczy, działa uczciwie, idzie prostą drogą, a wstrętny mu jest fałsz, podstęp i krętactwo, chociażby ubrane w grzeczną, salonową i artystyczną formę.

Człowiek honoru jest przeciwnikiem sprawiedliwości, a milczy, jeśli zmóc nie może swych protekcyjnych sympatyj. Ludzie honoru oskarżonemu dają obrońcę, pozwalają mu słyszeć zarzuty, by mógł się bronić. Ludzie honoru nie mieszają się głosowaniem do spraw podwładnych na zebraniu, by potem sądzić jedną część zebranych.

Człowiek honoru nie przekręca znanych mu faktów celem oskarżania innych, jak to się zdarza niektórym dziennikom, które nawet nie chcą ogłosić obrony raz z osobistej niechęci, a także dla zyskania abonentów i wyborców.

Pewna, widocznie przez niedopatrzenie wysoko postawiona kobieta, mająca walczyć z żydowsko-niemiecko-rusińską lewicą w sejmie, poczuła się nagle do obowiązku reprezentowania nauczycielstwa Wielkopolski, ale to nauczycielstwo, które na nią głosowało, nie na żydówkę lub Niemkę, ostrzegać zaczyna przed pruso-żydowszczyzną. Człowiek honoru nie miesza się do spraw, których nie zna, i nie bredzi, jeśli brak mu wiadomości lub argumentów, nie robi nikogo zdrajcą bez podstaw i bez dowodów.

Wiedzcie więc, że człowiek honoru jest dopiero człowiekiem i obywatelem o pełnych prawach, może nosić godność w sercu i wszystkim patrzeć prosto w oczy!

A teraz, Czytelniku, jeśli masz ludzi bez honoru i bez godności w swojem otoczeniu, bliższem i dalszem, zwalczaj ich wszelkiemi sposobami, nawet publiczną infamją, bo to najwięksi szkodnicy państwa, Kościoła, szkoły, bo ludźmi bez honoru i godności zginęła Polska, której czci

daremnie bronił Rejtan u progu sali sejmowej. Ci ludzie, gotowi podpisać nowy rozbiór Polski, jeśli ich Twoja ręka od tego nie powstrzyma!

E. os.

W odpowiedzi pani Zofji Sokolnickiej.

Jest rzeczą charakterystyczną i dobrą, że pani poseł Sokolnicka pierwotne swoje wypowiedzenie, jakoby „rozdźwięk pomiędzy rodzimem nauczycielstwem wielkopolskiem a przybyłem z innych dzielnic Rzeczypospolitej był wynikiem zabiegów prusko-żydowskich", w krótkim czasie sprostowała, zanim Związek Profesorów, co do siebie przynajmniej, swoje w tym względzie mógł uczynić zastrzeżenia. Charakteryzuje to dosadnie metodę pracy i całą impulsywność tej pani; tembardziej, że całe jej wystąpienie oparte jest właściwie na czem? Chyba li tylko na informacjach jednej strony, chyba jedynie na tem, że wszystkie uwagi „Trąby" w tej sprawie, wyjaśniające genezę i przebieg zatargu między nauczycielstwem, dla pani poseł Sokolnickiej wogóle nie istnieją. Można w końcu rzeczy zrozumieć, że człowiek młody i niedoświadczony wydaje sąd o rzeczach, osobach i zdarzeniach bez należytego orjentowania się, ale człowiek, który ma pretensje do przedstawicielstwa ludu, powinien jednakże znać i uwzględnić ten prymitywny i podstawowy warunek. Co gorsza, co Związkowi Profesorów się zarzuca jako niemoralne, to się samemu bez najmniejszego skrupułu praktykuje, innemi słowy, nie akcją prywatną łagodzi się spory, wywleczone na forum publiczne nie z winy Związku Profesorów, ale drogą oświadczeń apodyktycznych z wysokiego miejsca, usiłuje, pani poseł Sokolnicka, na łamach gazet niedogodną stronę zmusić do milczenia. Ugoda i zgoda to dla nas jeszcze nie równoznaczne z upokorzeniem i gwałtem. Czy nie byłoby rzeczą wskazaną, aby pani poseł Sokolnicka się zastanowiła jakich środków użyła, oczywiście poza ostatniem swojem wystąpieniem, celem załagodzenia zatargu, chyba przyzna, że łzy i szatodarcie nie są środkiem rozumnym i wystarczającym; powtóre zapytać można, skąd zaczerpnęła informacje swoje pani poseł, by w tak stanowczy sposób potępić Związek Profesorów, po trzecie, jacy to przyjaciele zmienili treść rzekomo pierwotnego oświadczenia pani Sokolnickiej, kto innemi słowy śmiał panią S. narażać na śmiech i zarzuty? A jednak warto było, podać swoje pierwotne słowa w dokładnem brzmieniu.

Jeszcze małe memento: pani poseł Sokolnicka niech zapamięta, że nie przerażają nas bezpodstawne i niczem nie poparte oskarżenia, albo terror i potwarz polityczna ze strony naszych przeciwników; chociażby to miały być osoby najwyżej postawione, to nie byliśmy i nie będziemy służalcami niczyimi, z nami mówić można jedynie na podstawie sprawiedliwości. Rozumiemy, że zgoda jest konieczna, ale nie te są drogi prowadzące do celu.

Pikros.

Triumfy pedagogji galicyjskiej.

1

Jej cechą jest — dużo na papierze: plany są obfite i gdyby je wykonać, toby uczeń szkoły średniej był tak mądry — jak co najmniej student uniwersytetu po ukończeniu studjów; gadaniny bardzo wiele, przedsięwzięć nieskończona liczba — kółka krajoznawcze (z wycieczkami!), literackie, historyczne itd. Ale w praktyce z tego wszystkiego nader mało: kończy się na nader powierzchownem przeleceniu planów, z zamierzeń wszystkich pozostają plewy, a kółka, zabierając uczniom czas nie tyle ich uczą p r a c o w a ć, ile p r ó ż n o w a ć, bo nie przyuczają do porządnego wykonywania zamierzonych prac. Nie przyuczają zaś z bardzo prostej przyczyny: uczniowie tych prac wykonać n i e m o g ą, bo one przerastają ich siły. Jakże bowiem uczeń z VI. czy VII. klasy może sobie dać radę z trzema czy czterema grubemi książkami, które mu każą przeczytać do r e f e r a t u np. o klasykach i romantykach, kiedy on sobie nie może dać rady ze zrozumieniem nawet tego, co jest p o d a n e w w y c i ą g u w przepisanym dla niego podręczniku historji literatury polskiej? W jeszcze wyższym stopniu dotyczy to t. zw. referatów historycznych. Kończy się zazwyczaj na tem, że domowi opracowują te referaty za ucznia, które on odczytuje w klasie. Tak było i jest w b. Galicji, tak zaczyna tu być w Poznaniu. Człowiek bowiem ma to nieszczęście, że siebie samego z sobą nosi: b. pedagodzy galicyjscy przynieśli z sobą swoje właściwości, wyhodowane pod opieką c. k. Rady Szkolnej i Min. w Wiedniu. Jaka na to rada? Tylko ta, że zwierzchność szkolną nietylko nie powinna zachęcać albo pozwalać, ale wprost s u r o w o zakazać posługiwania się innemi albo też większą ilością książek, niż te, które są przepisane. Jeśli uczeń chce, może pisać referat, ale tylko na podstawie tego, co ma w swoim własnym podrę-

czniku. Gruntowne opracowanie tego, co tam mą, wystarczy mu najzupełniej — i to jeszcze jeśli potrafi wszystko wykorzystać, co tam jest. Oby to uczynić zdołał!

2

Wprowadzono teoretyczny przedmiot — higienę. Bardzo dobrze. Ale niewątpliwie, że stokroć lepiejby się uczyło higieny, gdyby higienicznie się dzieci prowadziło. Ale oto taki wypadek do zanotowania: w pewnym zakładzie czysto katolickim — oddaje się naukę higieny i dbałość o zdrowie fizyczne dzieci osobie, mocno skompromitowanej awanturami przeciwko X. Profesorowi Zimmermannowi na Uniwersytecie Krakowskim. Jak wiadomo awantury wszczęli żydzi swego czasu pod wodzą żyda Dra Grossa, który śmiał z żydowską bezczelnością wchodzić i przemawiać w budynku uniwersyteckim, a to tylko dlatego, że żydzi się obawiali, iż idee kooperacji socjalnej, przyniesione przez X. Prof. Zimmermanna z Poznania, mogą budzić ruch handlowy chrześcijański, a w następstwie mogłyby zachwiać monopolem żydowskim w twierdzy stańczykierji, socjalizmu i żydowstwa — w Krakowie. Ta osoba najwyżej wchodziła na żelazne kraty bramy Collegium Novum w Krakowie przy zdobywaniu tego budynku, dając ucieszny prospectus patrzącym z dołu. Możnaby ją posądzać, że działała jako agent żydowski albo — masoński. Ale to nie przeszkodziło czysto katolickiemu zakładowi zaangażować ją do nauczania i leczenia dzieci, których rodzice umyślnie oddawali do tego właśnie zakładu, mając nadzieję, że dbałość o ewangelję tam będzie najważniejszą troską. Obecnie już tej osoby wprawdzie niema i dość trudno wybadać właściwy powód: wydaje się, że rodzice przeciwko temu wystąpili.

Jeśli jednak zakład tak pilnował wykładów higieny, że aż angażował taką osobę, to chyba w praktyce powinien dbać o higienę. Tymczasem całe miasto mówi o tem, że zakład w pokojach o mokrych ścianach świeżo postawionego (i jeszcze nie skończonego) budynku urządza naukę! Przychodzą komisje, które w obecności przełożonej wypytują dzieci, czy im zimno! Czy komisja ma oczy, powonienie i dotyk? Może przyjść wtedy, kiedy niema dzieci i dokładnie zbadać, a zobaczy, dlaczego cały szereg dzieci choruje. — Ale to wszystko po galicyjsku: wykłada higienę, której przepisy w praktyce się lekceważy i nie wykonuje, jest się zakładem czysto katolickim, ale się angażuje żydowskich masonów do nauki, każe się szanować rodziców, ale równocześnie dzieciom się robi kwestję o to, że

dzieci się skarżą w domu przed rodzicami, że pokoje są mokre!

A władza szkolna? Pan inspektor był i badał, ale znalazł, że... katedra jest brzydka. A rada pedagogiczna?... Ks. Prof. gdy chodziło o żydowskich masonów, wskazywał na — miłość bliźniego, a obecnie gdy chodzi o dzieci katolickie, powierzone jego pieczy, podkreśla, że jemu w pokoju mokrym jest — ciepło. A gdzież się podziała jego miłość bliźniego i — dzieci, śmiałbym powiedzieć, skoro jest pedagogiem i z tych dzieci żyje, przynajmniej w części?

Czy chęć zysku, płynącego z przedwczesnego korzystania ze stawianego budynku, ma zasłonić ewangelję i zasady zgromadzenia? — Czekamy.

Wszystko to pachnie — austrjackością albo galicyjskością, co kto woli. Austrja budowała kanały galicyjskie od 1903 roku po to, aby ich nie wybudować wcale; gdy zaś Austrjacy brali w skórę od wojsk rosyjskich pode Lwowem — gen. Höfer pisał, że front bez zmiany, słońce cudownie świeci — zupełnie jak pan inspektor, gdy ściany mokre, to on estetycznie osądza — katedrę.

3

W „Kurjerze Poznańskim“ z dnia 19/XI. 1922 pojawił się artykuł p. t. „W obronie szkoły“, gdzie niepodpisany autor napada na „Trąbę Jerychońską“ i na separatyzm Poznaniaków. Trzeba podkreślić, że autor nie mówi o rzeczach konkretnych, a tylko w ogólności stwierdza, że „Trąba Jerychońska“ podkopuje byt i powagę szkoły i że Poznaniacy są separatystami. Jak widzimy, mamy tu do czynienia ze zwykłą metodą galicyjsko-stańczykowską, polegającą na tem, że za zasady ogólne, głoszące dobro publiczne, chowa się własne sposoby postępowania. I „Trąbie Jerychońskiej“ zależy na dobru szkoły: ona chce usunąć separatyzm, ale — gailcyjski, który swoje sposoby postępowania chce narzucać całej Polsce z takim samym rezultatem, jakim się może poszczycić w b. Galicji. Oto tam wyhodowały galicyjskie sposoby rządzenia stapińszczyznę, stojałowszczyznę i wschodnio-galicyjską hajdamaczyznę: czy do tego samego ma dojść w całej Polsce? „Trąba Jerychońska“ chce temu zapobiec przez rzeczową krytykę. Być może, że tu i owdzie popełniamy błędy, ale wtedy prosimy o ich wskazanie i rzeczową argumentację, a nie o ogólniki, zmierzające jedynie do obrony tego, co przyniesiono z Galicji. Różne Gagatki, Bryle, et tutti quanti z cechu „dojlidziarzy“ nie przynoszą szkole galicyjskiej zaszczytu i trzeba koniecznie zapobiec, aby

ten typ wychowanków nie rozpowszechniał się w całej Polsce. Chętnie wejdziemy w dyskusję, ale konkretną. Natomiast nie możemy się zgodzić na to, ażeby dobrem publicznem zasłaniano sprawy własne, a częstokroć nawet prywatne.

Małopolanin.

„Przegląd poranny“ a Serce Jesusowe.

„Przegląd Poranny“ ma słabość do szkoły i lubi umieszczać artykuły o kwestjach szkolnych. Artykuły te bardzo polecam uwadze władz szkolnych i wszystkich tych, którzy zarzucają nam jątrzenie, sianie niezgody, podkopywanie autoretytu wychowawców, demoralizowanie młodzieży — no i „niekulturalny ton“. I proszę nie przejść lekko nad enuncjacjami temi do porządku dziennego lekceważącem gestem: „To pisała osoba prywatna, jej zdanie nie jest miarodajne“. Toć osoba ta daje rady nauczycielom, poucza ich o obowiązkach nauczycielskich, wydaje sąd o ich kwalifikacjach — i to wszystko we formie kategorycznej: — a redakcja popiera tę osobę prywatną, drukując jej elaboraty.

I to jeszcze jakie nauki i jaki sąd! N. p. taki artykuł w nr. 324 „Przeglądu Porannego“ z d. 2. XII. 1922 r., którego autor twierdzi: Szkoły żeńskie w Poznaniu są gniazdami bigoterji, bo zobowiązują uczennice swoje do uczęszczania dwa razy w tydzień na mszą sw., która odprawia się o godzinie 7 w gmachu szkolnym; zarzut ten skierował autor specjalnie przeciw szkole żeńskiej pod nazwą Serca Jezusowego w Poznaniu. Dalej: Troska o religijne wychowanie młodzieży należy wyłącznie do „domu i księży katechetów“. I jednym tchem zarazem kwestjonuje kwalifikacje kierowniczek tutejszych szkół żeńskich.

Artykuł ten godzi w najistotniejsze podstawy szkoły polskiej. Programy ministerjalne — nie wiem, czy autor zaznajomił się z niemi, nim swój artykuł napisał — żądają, żeby każda szkoła była przedewszystkiem zakładem wychowawczym, a każdy nauczyciel był w pierwszej linji wychowawcą młodzieży. Widocznie autor ściśle oddziela wychowanie młodzieży w znaczeniu ogólnem od religijnego wychowania młodzieży, i sądzi, że pierwsze może się obejść bez drugiego, więc wymaga, żeby nauczyciel i nauczycielka wyznania katolickiego zrezygnowali z wyzyskania tego czynnika religijno-moralnego, czynnika bar-

dzo dodatniego, jeżeli chodzi o wychowanie młodzieży; posługiwać się tym środkiem wychowawczym mają tylko księża katecheci, którzy w każdej klasie udzielają 2—3 lekcyj tygodniowo religji. Takie poglądy wygłaszać może tylko człowiek religijnie obojętny. Niestety wypada mi stwierdzić, że tym religijnym indyferentyzmem zarażone są pewne dzielnice Polski — ale nie Wielkopolska, ta „twierdza klerykalizmu, reakcji i bigoterji". Ten powiew religijnego indyferentyzmu wieje od śp. Austrji. I wstyd mnie za owego anonimowego autora, wstyd mnie wobec Niemców: bo za rządów pruskich, więc ewangelickich, każdy uczeń i każda uczenica byli zobowiązani uczęszczać trzy razy w tygodniu (w niedzielę i w dwa dni powszednie) na mszą św. (nie był to środek germanizacyjny, bo przepis ten obowiązywał na całym terenie państwa pruskiego, także tam, gdzie nie było wcale Polaków). A dzisiaj w wolnej katolickiej Polsce uchodzi to za bigoterję. Ale poco powołuję się na naszych wrogów! Otóż czytam w ustawach Komisji Edukacyjnej: „Codzień przed zaczęciem szkół znajdować się wszyscy uczniowie powinni na mszy". Lecz prawda — dzisiaj są czasy postępowe, demokratyczne, odziedziczyliśmy indyferentyzm religijny po śp. Austrji. A możeby autor te same wytyczne, które ogłosił w „Przeglądzie Porannym", opracował dla szkół żydowskich? Niech tylko rabinowi będzie wolno zajmować się wychowaniem religijnem żydów, a świeckim nauczycielom nie. Mnie się zdaje, że żaden nauczyciel żydowski nie zastosowałby się do tego żądania.

I nauczycielstwo katolickie także z oburzeniem potępia zasady głoszone przez tego anonimowego autora, bo wie, że wychowanie religijne jest skuteczne tylko wtenczas, jeżeli całe grono nauczycielskie współpracuje, jeżeli każdy nauczyciel i każda nauczycielka formuje tę duszę dziecka w duchu religijnym i chrześcijańskim. A wychowanie religijne jest dla młodzieży potrzebne i nietylko dla młodzieży.

Quis

Recenzje

Jan Biliński: „Błędy językowe" Poznań Spółka Pedag. 1922 r.

P. B., znany Poznaniowi ze swych wielomownych krytyk teatralnych na łamach „Kurjera Poznańskiego", spłodził tę książeczkę. Książka przeznaczona jest „dla warstw jaknajszer-

szych", „by Wielkopolska dowiedziała się, czego się ma oduczyć". Dlatego nie zawiera „długich wywodów lingwistycznych, któreby nużyły", tylko w 6 rozdziałkach przedstawia błędy: 1. wymowy, 2. w szyku wyrazów, 3. deklinacji, 4. fleksji (tutaj umieszcza się błędy z zakresu konjugacji, chociaż każdy pierwszoklasista wie, a w każdej gramatyce znaleźć można, że „fleksja (czyli odmiennia) jest nauką o odmianach imion i słów"), 5. błędy w użyciu poszczególnych wyrazów, 6. błędy w użyciu połączeń wyrazów, przypadków, przyimków (zwroty).—

Nie chcemy powątpiewać o szczerych zamiarach, które mogły przyświecać autorowi przy zbieraniu tych błędów, musimy jednak bezwzględnie napiętnować liczne błędy w „Błędach". W ramach tego pisma nie można niestety zająć się wszystkiemi błędami autora, trzebaby to pozostawić pismu fachowemu. Lecz zdaje się, że na tak sumienną recenzję szkoda czasu i atłasu, bo praca jest zbyt rażąco powierzchowna i niefachowa. — We wstępie nie szczędzi autor gołosłownych pochwał na cześć piękności języka wielkopolskiego, zohydza go jednak sam, gdyż podsuwa mu i uogólnia błędy, które w żadnej mierze nie zasługują na miano wielkopolskich. Większa ich część podchwycona jest niewątpliwie od osób przybyłych z Niemiec i uczących się dopiero języka polskiego, lub z ulicy, która zwrotów takich często używa naumyślnie dla wywołania humoru. Praca grzeszy brakiem odgraniczania błędów według stanów, zawodów itp. Przecież dzisiejsza metoda badań językowych nakazuje takie odgraniczanie. Sposób wykazywania błędów bardzo uproszczony. Przecież Poznań to miejscowość bardzo zgermanizowana, więc dalej bić w germanizmy, gdyż wszystko jest zapożyczone, przetłumaczone z niemieckiego. Tą metodą możnaby wprost polować na błędy i w końcu uważać każdy zwrot za przetłumaczony z jakiegoś języka. A nawet autor używa typowego germanizmu: „formy... idą za daleko" (odpowiada niemieckiemu „gehen zu weit"). Wszędzie orzeka się kategorycznie: „tak jest źle, tak się nie mówi, powinno być itp." Dotyczy to zarówno form gwarowych jak i staropolskich, które trzeba wytępić, bo „nie są powszechne". Czy może autorowi nie wiadomo, że nawet język literacki — brak mu mazurzenia — nie powstał z mowy powszechnej, lecz z gwary wielkopolskiej? Wszak Kasprowiczowi jesteśmy wdzięczni za wzbogacenie języka literackiego wyrazami gwary wielkopolskiej. Pocóż to tępić, jeżeli dobre i odpowiada duchowi języka? Nie tutaj miejsce do dyskutowania, czy lepiej mówić stry̨ch

zamiast góra, górka, piwnica zam. sklep, sklep zam. skład, kinematograf, kino zam. kintop itd. itd. Czy promocja doprawdy więcej odpowiada duchowi języka niż przesadzka? Czy zakluczyć nie zasługuje raczej na poparcie niż na tępienie? Dlaczego formy książęcia należy unikać? Nie przebacza się nawet naszej poczciwej a tak zadomowionej gapie „prowincjonalizm zam. wrona“. Wielka część wyrazów i zwrotów znowu jest błędna ze względu na brak logiki. Czy język w takich wypadkach kieruje się logiką? To zupełnie nowe odkrycie. Możeby autor zechciał nam cośkolwiek więcei powiedzieć na temat logiki w języku, pole jeszcze dotąd wolne do popisu. — Najgorzej przedstawia się dział wymowy, przedewszystkiem transkrypcji fonetycznej. Są dwie możliwości. albo autor cierpi na niedomaganie organów słuchowych (w takim razie może redakcja polecić dobrego specjalistę) albo nie umie ocenić, jak konieczną rzeczą jest ścisłe i dokładne oddawanie wszystkich dźwięków. A może to nawet bagatelizowanie? Nikt nie mówi w Poznaniu tejater tylko tyjatr, nie Ajropa (to wymowa wiedeńska) tylko Ojropa; musi być farmacojtyczny zam. farmacajtyczny, bierymy, chodzymy, idymy, mogiymy (mogymy, wymborek itd. zam. bieremy, chodzemy, idemy, mogiemy, wemborek itd. W gwarze wielkop. czyste e prawie nie istnieje, ulega pochyleniu na é, y (por. Nitsch Enc. Jęz. Pol. t. II. 238—343). Może za bardzo jest autor pod wpływem galicyjskiego bedzie, wielkop. bydzie, literackie będzie. Posełać jest bardzo wątpliwe. Mówi się tutaj ośpice (uośpice) nie oszpice. W niby popularnej książce o błędach razi ogromna ilość barbaryzmów, używanych przez autora. Może autor jest zwolennikiem „gwary łacińsko-polskiej“? Pomijamy całą masę innych szczegółów. Zwracamy jeszcze uwagę na wielką ilość błędów, przypuszczalnie drukarskich: dżwięczne (2), spojnika (2), polszczyznie (3), dobzi (fonetycznie winno być dobżi), archaizmam, przetoczone zwroty, jeźdżę, jeźdżą, myżeżmy, należy, zwiężle, oddaje się polsku zam. po polsku, przed skład zam. przez skład, wyroby mosarskie zam. masarskie (!), nazywą zam. nazywa, tłomaczenie, powiedzić i t. p. Zasada przecinkowania ogromnie kuleje i jest niekonsekwentna. Książka o błędach winna doprawdy być bez błędów.

Kilka tych uwag rzuciliśmy w tej mierze, że dopomogą autorowi na przyszłość do lepszego uporządkowania swych myśli, nieszafowania nieoględnie rozmaitemi pojęciami i sumienniejszej pracy tem więcej, że autor zamierza w dalszym ciągu zajmować się „błędami". Wiele korzyści przyniosłoby także autorowi choć pobieżne przeczytanie jakiegokolwiek popularnego dziełka o języku.

Ut desint vires, tamen est laudanda voluntas.

Maior Polonus.

Wiadomości bieżące.

W jednym szczerze katolickim zakładzie stwierdziła bardzo dobra zresztą i co do zachowania się i co do nauki uczenica, że nauczycielka, świeżo przyjęta — później zresztą oddalona — jest żydówką (z pochodzenia). Twierdzenie to spotkało się z zaprzeczeniem koleżanki, dowodzącej, że to nieprawda, bo nauczycielka jest chrześcijanką. (Istotnie przyjęła chrzest. wychodząc za mąż!). Doszło to do wiadomości przyjaciółki owej nauczycielki (żydówki z pochodzenia), także nauczającej w rzeczonym zakładzie, i ta przeprowadziła obniżenie noty z obyczajów tej uczenicy, która ośmieliła się stwierdzić żydowskie pochodzenie swej nauczycielki w gronie swych koleżanek. Ostatecznie rzecz sprowadza się do tego, że uczenica została ukarana za stwierdzenie prawdy: złą jest rzeczą stwierdzać, że ktoś jest z pochodzenia żydem. Czy także jest złą rzeczą stwierdzać, że ktoś jest z pochodzenia Polakiem? — Owa nauczycielka (żydówka z pochodzenia) jest z b. Galicji, jej przyjaciółka z b. Galicji, uczenica, która doniosła, z b. Galicji i — reszta towarzystwa także; mamy tu zatem okaz b. galicyjskiej pedagogji, usiłującej się rozszerzyć na całą Polskę.

Małopolanin.

Otrzymaliśmy odezwę Dyrekcji Związku Obrony Kresów Zachodnich z prośbą o sprawiedliwą ocenę. Przychylając się chętnie do życzenia Dyrekcji, umieścimy naszą niewątpliwie życzliwą ocenę w następnym numerze Trąby Jerychońskiej.

Redakcja.

Na krańcach prawdy i humoru.

Zawstydzona Mamusia.

Mamusia: Irko, poprawże sobie sukienkę!

10-letnia Irka: Mamusiu, nie rób mi uwag! Mam swoje lata i mogę teraz sama sobą kierować!

Groźba.

Nauczycielka (siedząc na katedrze i popijając herbatą) do gwarzących dzieci:

Cicho, dzieci, bo zacznę teraz uczyć!

Ciekawa statystyka.

Statystyka wykazuje, że po odpłynięciu fali inteligentów z Galicji procent analfabetów w Galicji się zmniejszył, w Wielkopolsce natomiast się powiększył.

Czy to może wyniki „świeżości i zapału wychowawczego“ oraz „doświadczeń pedagogicznych“, tu przyniesionych?

Od redakcji.

Kończy się stary rok, rok, w którym raz po raz życiem społecznem w Polsce wstrząsał jakiś kataklizm, jakiś niespodziewany zwrot, ale w którym też sumienie narodowe się wzruszyło, znacznie zaostrzyło i nauczyło się rozróżniać plewy od ziaren dobrych. Był to rok walki wewnętrznej w każdej dziedzinie życia społecznego i państwowego, także w szkolnictwie.

Garstka Wielkopolan wystąpiła po milczeniu aż nadto długiem do walki ze złem, które wtargnęło do szkoły polskiej. Musimy pozatem bronić dorobku kulturalnego Polski Zachodniej przed zagładą, bo sądzimy, że dorobek ten może całej Polsce przynieśc znaczne korzyści. Jesteśmy świadomi trudności i przykrości, na jakie się narażamy, lecz świadomość ta nie osłabia naszej energji, i usiądziemy przy jednym stole z przeciwnikami tylko wtenczas, gdy okażą zrozumienie i uznanie dla ideałów, o które walczymy — lecz wtenczas usiądziemy z największą chęcią i z radością w sercach.

„Trąba Jerychońska“ zajmowała się dotąd wyłącznie sprawami szkoły i wychowania.

W nowym roku postanowiliśmy rozszerzyć nasz zakres działania i otwieramy łamy „Trąby“ także dla innych dziedzin pracy społecznej i kulturalno-narodowej. Redakcja wdzięczną będzie za wszelkie artykuły, informacje i t. p., które — to jest warunek konieczny — opierać się muszą na faktach i szczegółach prawdziwych.

Redakcja.

ABONAMENT z przesyłką za nr. 4, 5 i 6 wynosi 1000 marek.
Uprasza się wszelkie zamówienia skierowywać do administracji.
Wpłata na pocztowe konto czekowe nr. 204637.

REDAKTOR: IGNACY EICHSTAEDT, UL. MATEJKI 67.
ADRES ADMINISTRACJI: DR. ZYGMUNT SZYMAŃSKI, KRASZEWSKIEGO 4

Drukarnia L. Kapela, Poznań.